

**MAX
CEGIELSKI
NAZYWAM SIĘ
CZOGORI**

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Max Cegielski

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Dla Marysi i Bruna – z podziękowaniami za inspiracje

Ja narażę go na palenie się w ogniu – sakar. A co ciebie pouczy, co to jest sakar? On niczego nie zostawia i niczego nie oszczędza, palący na czarno skórę. Nad nim czuwa dziewiętnastu.

Koran, 74: 26–30, przeł. Józef Bielawski

Ale są też i tacy, którzy byli biegli w medytacji, lecz w chwili śmierci silna choroba przemogła ich i pomieszała im pamięć; takim nie pamiętającym trzeba koniecznie recytować te pouczenia.

Tybetańska Księga Umarłych, przeł. Ireneusz Kania

Gdy już modłami uśmierzyłem rzesze umarłych, schwyciłem owce i zabiłem je nad dołem, tak by doń ściekła czarna dymiąca krew. Zaczęły wychodzić z Erebu dusze umarłych.

Homer, *Odyseja*, przeł. Jan Parandowski

Godna uwagi, iż zwyczaj częstowania zmarłych zdaje się być wspólny wszystkim ludom pogańskim, w dawnej Grecji za czasów homerycznych, w Skandynawii, na Wschodzie i dotąd po wyspach Nowego Świata. [...] Pospólstwo rozumie, iż potrawami, napojem i śpiewami przynosi ulgę duszom czyścowym.

Adam Mickiewicz, *Dziady*, część II

PROLOG

Wschodzi księżyc. W zimnej poświacie zbliża się mężczyzna. Chcę uciec, ale nie mogę się ruszyć. Przyrosłam do ziemi, ważę tony.

Czuję jego nieświeży oddech. Najpierw zadaje lekki cios, ale i tak przesywa mnie ból. Naciska i wchodzi głębiej, raniąc dotkliwie. Ma zaciętą minę i pusty wzrok, bierze szeroki zamach, wali. Biję mocno, z całej siły opiera się na narzędziu, szarpie i rozrywa. Zostaw mnie, przestań! – krzyczę, ale on nie słyszy i znów uderza.

Nie chcę tego, nie wytrzymam.

Księżyc przesunął się wyżej, napastnik podciąga się o metr i znów unosi rękę. Atakuje z pasją. Ostre kolce na jego butach drapią okrutnie, jak grad. Powyżej dwóch jego partnerów chce mnie spętać, zamknąć w klatce z metalu i długich lin. Wszyscy trzej nic nie mówią, choć sapią głośno. Jestem tak obolała, że przez chwilę milczę i pozostaję bierna. Są silni, ale ze mną nie mogą się równać.

Otrząsam się. Dość tego, muszę się bronić.

Ten pierwszy wyslizgał cienką warstwę puchu, moje okrycie, pod nim są tylko zmrożona na kamień woda i lita skała. Z grani powyżej osypują się kamyczki, których nie związał lód, na in-

truza spada deszcz moich uderzeń. Oddaję cios za ciosem, on się zatrzymuje. Zasłania twarz rękoma, traci oparcie w skale, zsuwa się w otchłań.

Teraz to on się broni, wali na oślepek czekaniem. Dosięgnął mnie, ale uderzył zbyt lekko, by się zaczepić. Młóci dłońmi, jedną chwycił się ułamka skały. Trzyma kurczowo i znów chce bić, ale w jego oczach widzę już strach, a nie męską pewność siebie. Drugą ręką uczepił się liny, przenosi ciężar z nogi na nogę, szuka solidnego podparcia.

Walę go śniegiem na odlew. Uderzam kawałkami lodu w twarz. Bronię się równie zajadle, jak on napadł mnie. Przecynam naprężoną linę. Człowiek macha rozpaczliwie rękami, ale nie ma się czego złapać, leci w dół z otwartymi ustami. Tamci powyżej nic nie widzą, nic nie słyszą, nimi zajmę się później. Dręczyciel spada coraz niżej, do moich stóp, aż całuje je w lodowej dziurze.

Leży bez ruchu, noga odstaje na bok pod kątem prostym, materiał spodni przebiła kość. Pakunek, który miał na plecach, przesunął się i zwisa mu z przodu na szyi, zaciska pętlę. Mężczyzna się dusi i nagle powraca mu słuch, a na moich zboczach żalosne zawodzenia duchów mieszają się z pomrukami burzy. Krwawi zepchnięty w bezdenną przepaść przez niewidzialne ręce, mamiony przez błędne ogniki.

Wciąż oddycha, udaje mu się wyswobodzić jedno ramię i rozluźnić zacisk tobołków, krew pulsuje w stygnącym ciele. Leży u wylotu lodowego tunelu. Próbuje się ruszyć, lecz pogarsza sytuację: stopa zaklinowana o skraj skały zostaje w górze, a on zawisa głową w dół.

Krzyczy z bólu.

Jest mu zimno, szczupłe ciało stara się podwyższyć temperaturę atakami dreszczy przenikających na wskroś. Mocne,

rytmiczne skurcze mięśni osłabiają go z każdą ulotną chwilą. Dostaje pierwszych zawrotów głowy, lód czernieje mu w oczach. Tętno skacze, gruczoły w panice pompują adrenalinę. To nie on broni się przed zimnem, lecz instynkt reaguje za sprawą nawyku, z którym świadomość nie ma nic wspólnego. Z nogi sączy się ciepła krew.

Opowiem ci coś, zanim zamarzniesz.

Myślałeś, że nic nie czuję? Uważałeś, że wszystko ci wolno, że masz do mnie prawo? Że możesz dobierać się do mnie brudnymi łapami? Nie zapytałeś o pozwolenie. Pasowała ci milcząca zgoda, dlatego nie słyszałeś moich protestów. Jesteście głusi, ty i twoi koledzy. Gdzie oni? Myślisz, że po ciebie wrócą? Na razie musimy pogadać, spójrz na mnie!

Nic nie widzisz.

Otulam cię mrozem, naczynia krwionośne się zaciskają, najpierw na opuszkach kciuków. Tak wielu już przed tobą je zabrałam... Zdążyłam się nauczyć, jak zbudowani są ludzie. Ciało usiłuje przepompować krew do serca i mózgu, ratować najważniejsze organy, ale za to obkurczają się palce u stóp.

Jesteś w pierwszej fazie hipotermii, znam to określenie, niejeden z was mruczał je pod zamarznętym nosem na moich zboczach. Pograżasz się w nicości ścinającej krew w żyłach. Siła życia, którą masz w sobie, szuka potrzebnej energii, stara się zrekompensować straty ciepła, znaleźć w głębi ostatnie ukryte zasoby witalne. Twoje organy jeszcze walczą, a umysł sądzi, że podchodzą do ciebie rogate bestie. Chcesz je odgonić, ale nie możesz ruszyć ręką. Straciłeś nad sobą kontrolę, władzę nad tobą przejęły demony.

Resztki rozsądku podpowiadają ci, że zaszedłeś za wysoko, aby spotkać jakiegokolwiek zwierzęta. Nawet one tu nie docierają, wiedzą, że nie mają po co, traktujemy się więc z szacunkiem.

Tobie go zabrakło. Wydawało ci się, że jesteś odważny i czeka cię sława, a zostaniesz tu na zawsze. Oprócz moich silnych objęć nie ma tutaj nic dla ludzi. Moi poddani z dołu to rozumieją, nigdy nie biegł tędy szlak karawan, lud Balti oddaje mi cześć z oddali. Nie pcha się do mnie z łapami tak jak wy.

Nie narodziłam się jako żeńska „Góra” ani męski „Szczyt”, byłam ponad takie drobnostki jak tożsamość płciowa. Wy się uparliście i mnożyliście epitety: mordercza, wielka, groźna, niebezpieczna. Jestem dla was panią, królową, władczynią, próbujecie mnie osiąść i dopisać do listy poskromionych *ladies*. Chcieliście mieć kobietę wroga w miejsce obojętnego, bezpłciowego szczytu.

Nieliczni rozumieją, że powinni się wspinać nie przeciwko mnie, lecz razem ze mną, z miłością i oddaniem. Zapewniam cię, że w okresach pomiędzy waszym dreptaniem, kiedy panuje tu spokój, nie myślę o ludziach ani o płci. Jestem, bo jestem, trwam bez was i bez końcówek słów, których używacie.

Marzniesz coraz bardziej, prawda?

Chcesz krzyknąć, ale jesteś za słaby. Zsuwasz się głębiej w szczelinę pokrytą twoją tłustą juchą. Szamoczesz się jak ja wcześniej, kiedy byłeś przekonany o swojej potędze, ale od tego szybciej tracisz energię. Wokół ciebie już tylko lód, straszliwa, ciemniejąca biel. Stoczyłeś się w otchłań, a ja tulę cię do snu mroźnym uściskiem. Starasz się uspokoić, skupić na wdychanym i wydychanym powietrzu, w lodowym piekle brakuje ci tlenu. Robisz się sztywny i twardy, podobny do mnie.

Niestety, zostaniesz ze mną.

Dygoczesz, mięśnie masz napięte, temperatura ciała spada poniżej trzydziestu stopni Celsjusza. Podchodzi do ciebie dwurożny czort z wywalonym do kopyt jęzorem. Czarny, śmierzący kozioł, którego widziałeś we wsi, lub dzika kozica. Zaglądasz

w małe oczka bydlęcia, a ono z zaciekawieniem lustruje wzrokiem ofiarę.

Słyszę twoje niewyraźne mamlanie, nieokreślone mamręganie.

Mój sługa Iskander ostrzegał cię, że duchy sprawują władzę nad dzikimi zwierzętami. Dosiadam markura śruborogiego, szarego zimą, rudego latem, trzymając się długiej, gęstej brody zwierzęcia. Wtulam się mocno w twarde rogi i pędzimy przed siebie na nim i jego samiczkach, na górskich kozach i ibexach. Lubię też popieścić sprężystą kitę lamparta śnieżnego. Zwierzęta delikatnie stąpają po granitowych splotach, ziarnach zmarzniętego żwiru i kwarcowych odłamkach, nie są nachalne jak wy, wspinacze.

Skóra ci bieleje, dygot cię zmęczył, wypalasz się. Gorący i szorstki jęzor koźłego szatana liże cię po twarzy, natychmiast pokrywam ją delikatnym kwiatem szronu. Milionami śnieżnych gwiazdek rosnę na twoim ciele. Białe płatki kłębią się i migoczą, pod nimi martwiejesz. Widzisz biały tunel, śni ci się, że wchodzisz do mojego pałacu, idziesz zimnymi komnatami, siadasz pośród innych demonów u stóp tronu ze śnieżynek. Jest was coraz więcej, tłoczycie się i krzyczycie, niedobrze mi od waszych ryków. Chciałabym zostać sama.

Pamiętaj, ja się tylko broniłam.

Mam ochotę się rozplakać, ale nie potrafię, zamiast łez zaciną śnieg, nadciąga zamieć.

Księżyc znika za chmurami.

CZĘŚĆ I

Opowieść Iskandera, szejka Al-Kassar

Świst. Huk, puk, stuk.

Wiała i pohukiwała, zmieniała kierunki wiatru, aż zamilkła.

Wyczerpała mnie jej przemowa, otarłem pianę z ust, nic już nie wymykało się z zagrody moich zębów. Dygotałem, ostatni pogłos słów drgał mi jeszcze głęboko w trzewiach. Ucichła, ale zostawiła ślad, pył i osad na sercu, skóra mi pociemniała od jej granitowego oddechu.

Szczyt cierpiań, Czogori bolało. Powiedziała, że to wszystko moja wina. Krzyczała, choć wiedziała, że słuch mam świętny. Na nic się zdało zatykanie uszu, głos wiejący z doliny rozlegał się głęboko we mnie. Musiałem pokornie spuścić głowę, nie upilnowałem jej, nie wywiązałem się z powierzonego mi zadania. Wierzchołek oskarżał mnie o zdradę, twierdził, że zaprzedałem się ludziom, zbyt wielu ich pojawia się na lodowcu.

Na nic się zdały moje zaprzeczenia. Duża Góra była wściekła i nie chciała mnie słuchać.

Mówiłem jako herold królowej, ale ona się zmieniła. Mruzczałem modlitwę, prosiłem o wybaczenie, i przez cały czas się obawiałem, że to nie wystarczy. Ten, który zginął, zobaczył

rzeczy nieprzeznaczone dla jego oczu, naruszył tabu. Nic już nie będzie jak dawniej, choć zabrał ze sobą tajemnicę na tamten świat. Drżałem ze strachu przed gniewem bóstwa, zarazem obolały od krzyku człowieka, któremu demony wiązały powróż na szyi.

Wyciągnąłem zza pazuchy bukłak i łapczywie opróżniłem. Uspokoilem rytm serca, zgrałem go na nowo z oddechem, tak jak się stroi instrument. Liczyłem wdechy i wydechy, regulowałem organizm wstrząśnięty kolejną tragedią na szczycie. Udało mi się podnieść, usiąść. Wciąż drżąc, włożyłem do ust kawałek placka, powoli go przeżułem, wystawiłem zmarszczki do słońca, żeby mnie ogrzało, przywróciło obieg krwi, rozmasowało mięśnie stężale od wrzasku z tamtej strony. Bolało mnie gardło, ale nadal żyłem, a woda szemrała w kanale irygacyjnym.

Przez wieki co roku powtarzało się to samo; wznosiłem twarz ku promieniom, nasłuchując życiodajnej strugi, spokojnie płynęła między kamieniami. Krągłe morele i jabłka pachniały, zapowiadał się obfity zbiór. Powoli wzrastały jęczmień i pszenica, słońce ogrzewało ziemię i mnie, cieszyłem się ciepłem lata. Zgodnie z wolą bogów każdej wiosny, kiedy tają śniegi, opuszczaliśmy zatęchłe piwnice domów. Brałem wtedy głęboki wdech, oczyszczałem płuca z dymu paleniska, smrodu zwierząt i ludzi, napawałem się świeżym powietrzem, które nie zatyka mrozem oddechu w piersiach.

Kiedy tajały śniegi, przenosiliśmy się wyżej, do izb na poziomie gruntu, otwieraliśmy na oścież wyjścia na tarasy, od tej pory tętniły życiem. Dzieciaki biegały jak szalone przesmykami, wspinały się na dachy sąsiadów i zeskakiwały niżej, w tę i z powrotem, z góry na dół, oszołomione wolnością. Zgiełk i harmider w końcu zaczynały mnie irytować. Aż

poczułem, że dużo bardziej mężczy mnie gadanie głosem Dużej Góry.

Zawsze się cieszyłem, kiedy kobiety z częścią dzieciarni i stadami wyruszały na połoniny wspólnoty. Soczysta trawa na halach należy nie do ludzi, lecz do bogów, dlatego używaliśmy pastwisk wszyscy po równo. Szczególnie lubiłem pierwsze tygodnie po wyjściu kóz, baranów i jaków. W Al-Kassar panował spokój, więc mogłem oddawać się wspomnieniom. Świeże powietrze zostawało ze mną, ale zapadała cisza, a pola, drzewa owocowe i zagony pachniały coraz mocniej. Sypiałem sam na dachu i zaglądałem w gwiazdy, cierpliwie szukając znaków na czarnym niebie. Rozmawiałem z przodkami, pomagałem zmarłym dostać się w zaświaty, zstąpić w mrok; choć jest ukryty pod ziemią, znaki zodiaku układają się w jego mapę. Pilnowałem porządku, kierowałem duszami na ukrytych drogach, aby ci, którzy stąd odeszli, bezpiecznie dotarli na swoje miejsca po drugiej stronie. Byłem pomocnikiem, łącznikiem między światami, rozbrzmiewałem rykiem z wysokości i schodziłem na sam dół, za każdym razem bardziej zmęczony tymi wyprawami, choć nie ruszałem się już z doliny.

Po wyjściu naszych stad jak większość mężczyzn zostawałem we wsi, aby po zimie naprawić system kanałów nawadniających, obsiać pola i doglądać wschodzących plonów należących do rodziny. Struga, zasilana przez lodowiec wysoko nad najwyższymi pastwiskami wioski, toczyła wodę czystą i zdrową, nie żałowała jej zagonom moim, syna, wnuków, prawnuków, braci i siostr, kuzynów, powinowatych. Czogori nas karmiła, pozwalała rosnać zbożom, warzywom, owocom. Nie kłóciliśmy się o wodę, nocami nie dochodziło do kradzieży strugi, do przedstawiania kamieni tworzących układ irygacyjny. Starczało dla każdego, wody było wciąż pod dostatkiem i nikomu nie przyszło

do głowy, że może być inaczej, że kiedykolwiek zabraknie śniegu i lodu roztapiających się w mocnym słońcu.

Że też musiałem dożyć czasów, kiedy nie starcza boskich darów dla ludzi!

My, starcy, rozmawialiśmy regularnie, nadzorując prace przy kanałach. Strzeżliśmy, by młodzieńcy należycie układali kamienie, tak samo jak czyniono to od tysiącleci; by utwardzali rowy, które sprawiedliwie dzielą życie spływające z lodowca. Nadzorowaliśmy, czy młodzi, z głowami pełnymi nowinek, nie zmieniają reguł od początku świata rządzących podziałem wody. Siedzieliśmy w kucki pod drzewami i gderaliśmy, narzekaliśmy na przebieg kanalików, że są za wąskie, za szerokie, ciągle mówiliśmy o czasach minionych, a chłopcy szeptali między sobą o przyszłości. Po zakończeniu napraw rozchodziliśmy się na tarasy wydarte górą. Tam pomagaliśmy synom i wnukom przy zasiewach, przy zbożu, kaszy gryczanej i ziemniakach. Kiedy pytali, z przekonaniem udawałem, że uprawiamy je od zawsze, choć dobrze wiem, że to nieprawda. Bałem się im powiedzieć, jakie uprawy zaszczepili tu Anglicy. Dostarczyłbym młodym dowodów, że świat od zawsze się zmienia, a nuż zechcą wprowadzać kolejne innowacje? Nic nie poradzę na wiatry historii, ale muszę się im przeciwstawić, spowolnić tempo przemian.

Na polu wsłuchiwałem się w odwieczne szmery dobiegające z głębi ziemi, wyławiałem uchem najcichsze dźwięki nasion i głośniejsze wrzaski z dziur, przerw, miejsc i czasów ukrytych pomiędzy.

Tak było, dopóki wspinacze nie rozsierzdzili Dużej Góry.

DZIEŃ PIERWSZY,
w którym opowiada Jan,
a bohater musi podjąć decyzję

Daleko, daleko, bardzo daleko... Za górami, za lasami, za dziesięcioma morzami i siedmioma rzekami, w prawie całkowicie płaskim królestwie żył kawaler o imieniu Olo. Przekroczył dwudziesty rok życia, był wysoki, o twarzy kształtnej i niebrzydkiej, cerze jasnej, choć nieco zaniedbanej. Przypominał owoc jeszcze pozbawiony koloru, który mimo to spada z drzewa i gnije, zanim osiągnie pełnię smaku. Nie uważał się już za młokosa, lecz za dojrzałego mężczyznę, i w kąciku ust co chwila bezwiednie wykwitwał mu ironiczny, wyniosły uśmiezek. Owszem, przez wzgląd na okoliczności nie użył rano czerwonej ani niebieskiej farby do włosów, jaką miał w zwyczaju traktować nastroszony czubek, ten wyglądał więc jak zużyta, potargana szczotka, a przybrudzone sportowe buty prezentowały się niewiele lepiej. Czystością lśniła za to bluza z trzema paskami. Co chwila na zmianę podwijał i opuszczał jej rękawy.

Nad nim wznosiła się kopuła schronu przeciwoatomowego z czasów PRL-u. Przed dwoma laty tajemniczy inwestorzy urządzili w nim popularną dyskotekę. Przy wejściu gości witały hostessy w butach na wysokim obcasie, czarnych mini oraz koszulkach z zarysem dużej białej góry i napisem „K2”. Wręczyły mu folder reklamowy. Zaczerwienił się, kilka dziewczyn znał

z widzenia. Co za szczęście, że nie było wśród nich Very, na jej widok spaliłby się ze wstydu.

Spędził tu na dancefloorze niejedną noc. Tym razem na części tanecznej rozstawiono krzesła. Usiadł na jednym z nich, zamasyżuje założył nogę na nogę i zerknął na page-ra – żadnej wiadomości. Rozejrzał się, uznał, że do miejsca zupełnie nie pasuje wielki baner z tym samym znakiem, co na biustach hostess. Wisiał nad zaimprovizowaną sceną i stołem, przy którym zbierali się mężczyźni przypominający mu ojca. Zmienił zdanie i postanowił wyjść, ale sala wypełniała się dziennikarzami, musiałyby przepchnąć się między nimi. Operatorzy telewizyjni mocowali się ze statywami kamer, panie z gazet sprawdzały dyktafony; poczuł, że ci ludzie też tu nie pasują.

Rok temu tańczył w tym klubie z Verą do ostatniego kawałka. Pamiętał, że był to powolny, uspokajający *The Doo-Bop Song* z ostatniego albumu Milesa Davisa. Dziewczyna prawie zasypiała na jego ramieniu, tulił ją i całował po wilgotnych od potu włosach, wdychał mieszankę zapachu ciała, ulatującej woni szamponu i perfum. DJ-a obydwójce znali z radia, grał acid jazz z londyńskim wyczuciem, przynajmniej tak wyobrażał sobie Olo. US3 *Cantaloop (Flip Fantasia)* rozgrzało tej nocy parkiet co najmniej trzy razy, w różnych remiksach, a przy każdej wersji utworu Weronika mocniej wtulała się w partnera. Szeptał jej do ucha, że jest jego spełnioną fantazją, ponieważ wierzył, że wreszcie naprawdę się zakochał. Ona się uśmiechała i pozwalała jego dłoniom wędrować coraz odważniej z ramion na plecy i niżej, na pośladki.

O świcie wytoczyli się z ekipą znajomych na ulicę. Popatrzyła na fasadę gmachu.

– O rany, jesteśmy we Włoszech?!

– Nie, kochanie, w Śródmieściu, ale jeśli chcesz, zabiorę cię do Bella Italia.

Obiecałby spełnić każde jej życzenie. Spojrzała na niego i pocałowali się po raz pierwszy. Kiedy w końcu oderwał się od jej ust, ze śladem szminki na twarzy, powiedziała:

– Okej, za rok tam będę!

Później, pogrążony we wspomnieniach, sprawdził, że przy Wspólnej architekt wznosił stalinowską kopię florenckich pałaców. Vera bez Ola starała się zrobić karierę na wybiegach oryginalnych *palazzi* u projektantów światowej sławy, a on trzeźwy siedział w Ground Zero i marzył o łyku piwa w foyer po konferencji. Wrócił do punktu wyjścia, „do tego pierdolonego schronu”, znowu sam, choć zrobił jej pierwsze, próbne zdjęcia, a ona zaniósła je do agencji i dostała angaż jako modelka. Przepętno-ny zazdrością pomyślał: „Bo to zła kobieta była”.

Z rozmyślań o jej wyjeździe do Włoch wybił go mocny, donośny głos Jana, kierownika ekspedycji.

Za późno na ucieczkę.

– Minutą ciszy uczcijmy pamięć tych, którzy nie wrócili z gór – rozpoczął pompatycznie, choć niewyraźnie wymawiał słowa.

Dziennikarze na plastikowych krzeselkach poruszyli się nerwowo, niepewni, czy mają wstać, czy wypada im milczeć na siedząco ku chwale zmarłych. Olo przypomniał sobie, dlaczego tu przyszedł, i skrzywił się niemiłosiernie. Nie umknęło to uwadze dziennikarki na sąsiednim krześle, która wcześniej wydawała polecenia jednemu z operatorów kamer. Spróbował przybrać obojętny wyraz twarzy. Grupa wspinaczy siedziała za długim stołem, stał tylko kierownik. Nie dał żadnego znaku do powstania pozostałym, zresztą sprawę chwały bohaterów załatwił ekspresowo: już po kilkunastu sekundach kon-

tynuował przemówienie. Olo i reszta publiczności odetchnęli z ulgą.

– Pasja pod hasłem „ścieżka góry” oparta jest na partnerstwie, przyjaźni i grze zespołowej – podkreślił dobitnie. – Wolność wyboru tej pasji, ale i obowiązek wobec partnera, z którym jesteśmy połączeni liną...

Mimo szczyrych chęci Olo zaczął odlatywać myślami wysoko pod kopułę z żebrowanym sklepieniem.

Był tutaj także parę dni temu, niestety już bez Weroniki, choć miał nadzieję, że wspólni znajomi przekażą jej, jak świetnie się bawił. Imprezę zorganizowano w stylu „orientalnym”, więc koleżanki stosownie się przebrały. Ewa i Zosia założyły tunezyjskie stroje tancerek brzucha – staniki bez rękawów bogato haftowane sztucznymi perełkami. Obydwie miały odkryte brzuchy, liczne bransolety na ramionach, kształtnych nadgarstkach i kostkach, sandały z odsłoniętymi palcami, po oczach bił fiolet lakieru do paznokci. W dłoniach oprócz papierosów lub drinków trzymały kastaniety – dziewczynom pomieszały się porządki folklorystyczne, ale powiedzmy, że pozostały w konwencji egzotyki. Potrząsały instrumentami w rytm techno-orientalnej muzyki, granej tego wieczoru przez „mauretańskiego DJ-a”, jak głosiła ulotka reklamująca balangę. Inną atrakcją w cenie wejściówki były wróżby Cyganki. Zwróciła się do Ola „señor kawalerze” i przepowiedziała mu długą, niebezpieczną podróż. Rozśmieszyła go ta wizja, bo tamtej nocy jeszcze nigdzie się nie wybierał.

Właściwie nadal nie wiedział, czy dokądkolwiek wyjedzie.

Późną nocą znalazł się z Ewą i Zosią w ich ogromnym apartamencie, urządzonym z bizantyjskim wręcz przepychem. Zamroczony wódką i kokainą nie zwracał uwagi na freski pokrywające ściany dwupoziomowego mieszkania, złote kinkie-

ty, wyciskarkę do cytrusów Alessi Juicy Salif i rzeźbę jelenia w charakterze kandelabru. Musiał wysłuchać historii sióstr, córek właściciela sieci kantorów, srogiego, ale opływającego w dostatki nuworysza, podejrzanego o kontakty z ruską mafią. Dziewczęta uciekły spod Kraśnika na studia do stolicy. Vera też przeniosła się do Warszawy z małej miejscowości. Bardziej ambitna od Ola, chciała podbić świat.

Na początku musiała dorabiać jako kelnerka, a te dwie laski najczęściej sęczyły drogie zachodnie drinki w modnych barach. Znużyły gości opowieściami o swoim losie i *family business*. Przyszedł tu po seks, a nie grzebać w rodzinnych kronikach. Przysuwał się do nich na bordowej otomanie, a one dalej swoje... Opisywały transakcje, które doprowadziły do nieprzebranych bogactw tatusia, a w efekcie kupna ponad stu metrów kwadratowych z tarasem i garażem w Warszawie. Przypomniał sobie, jak Vera cieszyła się z pierwszego mieszkania, które mogła samodzielnie wynająć. Spędzili w nim razem kilka słodkich miesięcy.

Po jej wyjeździe pił i wciągał bez opamiętania. Tamtego wieczoru był tak nastukany, że urocze gospodynie apartamentowca zaczęły mu się wydawać podstępnyimi widziadłami. Minęła chyba wieczność, zanim przytuliły się do niego, poczuł dotknięcie żywych ciał. Rozsypał i podzielił ostatnią grubą kreskę koksu. W rozkoszach nie przeszkodził im warszawski świt.

W końcu *señor* kawaler zapadł w krótki, ciężki sen. Obudził się gwałtownie, jak to na kacu, i owładnęła nim groza: fantastyczne uroki dziewcząt z Kraśnika pierchły. Ból w kroczu rozbudził go zupełnie. Siostry, wymięte i spocone w zbrukanej pościeli, z rozmazanymi makijażami, bynajmniej nie wyglądały atrakcyjnie. Zrozumiał, dlaczego plotkowano o nich w towarzy-

stwie. W mocnym świetle dnia ukazały mu się kształty nie tyle czarujące pulchnością, ile otłuszczone. Przeraziły go obwisłe brzuchy i kulfoniaste nosy, ordynarne czerwone twarze, posklejane rzadkie włosy. Tuż pod jego nosem, na odkrytym pośladku jednej z tunezyjskich tancerek, pysznił się wielki pryszcz, więc mimo ostrego kaca gość szybko się ubrał i uciekł z mieszkania. Żadna z nich nie była przecież Verą.

Tego samego dnia Jan zaprosił go na konferencję prasową w Ground Zero.

Usłyszał chrząknięcie, rozejrzał się, to znów dziennikarka obok, chyba zwracała mu uwagę. Może na chwilę przysnął? Poprawił się w krześle, Jan mówił już o aspektach organizacyjnych ekspedycji.

– Transport lądowy jest bezpieczniejszy dla precyzyjnego kalendarza wyprawy. Loty do Skardu często są odwoływane, wiecie, rozumiecie, z powodu złej pogody. Nawet latem! A co dopiero w styczniu, kiedy temperatura powietrza na takiej wysokości spada do minus czterdziestu stopni!

Kierownik ekspedycji miał dar obrazowania. Od jego słów Ola przeszedł chłód. Zasunął suwak bluzy i skupił się na przemowie.

– Góry to, prawdę mówiąc, martwa kupa kamieni i lodu, ważny jest czynnik ludzki. Idziemy tam, żeby wrócić lepszymi... Polakami. Nie za cenę życia. Za cenę palca, odmrożeń, to nie problem. K2 to co innego. Tam wszystko może się zdarzyć! – Zmierzał do pointy, ale nie zdołał się zatrzymać i na wydechu dodał: – Nam się nie zdarzy. Bo K2 należy się nam i my wejdziemy tam pierwsi! Teraz, latem, wszystko przećwiczymy, a zimą będzie nasza! Dziękuję.

Wreszcie dopuszczono media do pytań. „Czy sięgniecie do horoskopów?” „Jaką drogą i w jakim stylu będziecie wchodzić?”

„Z jaką prędkością wieje wiatr na K2?” Żartobliwą uwagę: „Czy jesteście masochistami?”, Jan żartobliwie zripostował; „O tyle, o ile wy jesteście sadystami”. W sali rozległ się śmiech, konferencja dobiegła końca.

Kierownik i pozostali członkowie wyprawy udzielali jeszcze indywidualnych wywiadów. Olo z ulgą ruszył do wyjścia. W hallu hostessy serwowały przekąski i plastikowe kubeczki z piwem „Marioli o kocim spojrzeniu”, wziął jedno, nie patrząc w oczy dziewczynie – a nuż spotkał ją już w jakimś klubie. Wyszedł na dwór, żeby zapalić w spokoju, bez towarzysztwa mediów i aspirujących modelek. W połowie piwa i po pierwszym goldenie postanowił iść do domu, nie chciało mu się rozmawiać z Janem. Szyki pokrzyżowały mu trzy osoby, które widział wcześniej w sali. Akurat wyłoniły się z budynku.

Kobieta na przodzie była ubrana podobnie do hostess, tylko zamiast koszulki z logo miała elegancką białą bluzkę z żabotem. Za nią taszczył walizkę ogolony na języka facet w fioletowym garniturze, czarnym krawacie i białych skarpetkach. Pochód zamykał mężczyzna o ogorzałej cerze, spod rozpiętej białej koszuli wystawał mu naszyjnik z egzotycznych kamieni, a spod mankietu – zegarek. Olo natychmiast rozpoznał drogą szwajcarską markę, kiedyś robił dla niej małą fuchę, dokumentację promocyjnego party. Potem jego uwagę przykuły eleganckie czarne skarpetki i brązowe, wypolerowane na błysk mokasyny. No tak, asystował przecież znanemu fotografowi przy kampanii reklamowej tego włoskiego producenta obuwia, wiedział zatem dokładnie, ile kosztują te buty i że nie stać go na takie cymesy.

– O, cześć, Olo. Nie zauważyłam cię wcześniej. Fajnie, że wpadłeś – rzuciła do niego kobieta i podała mu dłoń zakończoną czerwonymi szponami.

Mimowolnie ją uścisnął i przeniósł spojrzenie na twarz. Gdzieś już ją spotkał, ale nie pamiętał, przy jakiej okazji, nie kojarzył imienia. Choć tak, firma Promotions.

– Siema – odpowiedział niezobowiązująco.

Nie potrafił określić stopnia swojej zażyłości z tą laską, wybrał więc zawodową pozę znudzonego młodego artysty. Nie zdawał sobie sprawy, że jego zdawkowe powitanie zabrzmiało lekceważąco i zbyt gwiazdorsko.

– To właśnie Olo Woronicz, wschodząca gwiazda fotografii. A to nowy prezes Polskiego Związku Alpinizmu...

Właściciel mokasynów skinął głową, tymczasem ten w krawacie otworzył walizę i wdał się na boku w rozmowę z ogromną słuchawką centertela.

– Po prostu Marcin. – Prezes się uśmiechnął i mocno uścisnął dłoń fotografa. – Znałem twojego tatę.

– Yyy... – W takich sytuacjach Olo nigdy nie wiedział, jak zareagować. Wahał się między dumą z ojca a irytacją, czym jest synem, w końcu zdecydował się na wariant wymijający. – Miło mi.

Tak uczyła go matka, niezależnie od stopnia skacowania pochodził przecież z dobrego domu. Pozbawione emocji, choć uprzejme słowa zabrzmiały jednak szorstko, a przez to wręcz wyniośle. Usiłował ukryć zdenerwowanie, więc zapalił drugiego papierosa. Marcin pociągnął nosem, chłopak się odsunął, wypuścił dym w bok. W tej chwili sobie przypomniał: pani w żabocie była szefową firmy tak potężnej i nowoczesnej, że kiedy dla nich pracował, zakazali mu używać słowa „reklama”. Zamiast tego miał mówić „strategie komunikacyjne”. Kobiecie wydawało się, że Olo wywarł złe wrażenie na prezesie PZA, więc próbowała przedstawić obu mężczyzn w jak najlepszym świetle.

– Świetnie wyczuwa nowe trendy wizualne, tak jak pan potrzeby społeczeństwa...

– Ja tylko kończę to, co zaczęliśmy. – Skromność Marcina zabrzmiała szczerze.

– Ludzie są zmęczeni przemianami, chcą czegoś więcej niż „ocięc, prać?” – kontynuowała szefowa. – Potrzebują większych marzeń niż proszek do prania i biel bielsza od bieli. Myślę, że Woronicz pokazałby waszą alpinistyczną pracę w nowoczesny, *cool* sposób! No i nazwisko, historia i współczesność...

Bohatera tego wywodu zaskoczyło słowo „praca”. Wysokie góry kojarzyły mu się z romantyczną przygodą, a nie korporacjami oraz ich produktami. Już sobie wyobrażał, że do wielkiej himalajskiej fabryki snów wchodzi robotnicy w puchówkach, ze zwojami lin, ale Marcin wyrwał go z marzeń.

– Tak, Jan mi wspominał, ale... – Spojrzał Ołowi głęboko w oczy. – Junior nie ma przygotowania alpinistycznego...

– To prawda... yyy... – Oło się zaciął.

Chwilę przed ich przyjściem zamierzał zrezygnować i uciec w miasto, napić się czegoś dobrego, a nie ciepłego piwa, rozmawiając o robocie i rodzinie z tymi ludźmi.

– Jan zaraz skończy i pogadacie! – Marcin postanowił zrzucić z siebie odpowiedzialność, a kobieta od promocji uśmiechnęła się zadowolona, że wymyśliła kolejny element długofalowej strategii *public relations*.

We dwoje wrócili do rozmowy z facetem w fioletowym garniturze, ich towarzysz wreszcie odstawił na ziemię walizkę z mobilnym telefonem. Oło zapalił trzeciego papierosa i pomyślał, że zaraz skończą mu się fajki, więc jeśli kierownik wyprawy nie pojawi się do końca paczki, będzie to świetny pretekst, żeby się ulotnić. Z drugiej strony jego konto świeciło pustkami, utknął w finansowym dole. Przydałoby się coś zarobić. Niezdecydowany przestępował z nogi na nogę.

Z klubu wychodzili już pierwsi dziennikarze, wyrobili wierszówki lub po prostu opili się piwem i napchali przekąskami. Znał rytm i dynamikę takich konferencji, ich organizatorzy skąpią alkoholu i jedzenia, przecież to środek dnia, nie można przesadzać. Uświadomił sobie, że nie ma już po co tam wracać, okocim zapewne się skończył, a jeszcze zagadnie go któraś z hostess i spyta o Verę. Ludzie mediów zerkali na niego z zaciekawieniem, wyglądał na przedstawiciela „Machiny”, „Brumu” lub innego młodzieżowego pisma, więc uznali, że himalaizm wciąż jest na fali i warto o nim pisać. Bał się, że ktoś go zaczepi, ale wszyscy zbierali się do swoich redakcji. Na zewnątrz wyszła także dziennikarka, która w trakcie konferencji siedziała obok niego, i spojrzała wymownie, jakby chciała porozmawiać. W tym momencie pojawił się kierownik.

– A, tu jesteś, dobrze. Daj mi dosłownie chwilę, muszę zamienić dwa słowa z Marcinem i tymi... – Wskazał na kobietę i faceta z walizką.

Ucieczka się nie powiodła, a dziennikarka odeszła z operatorem do samochodu z logo TVP. Fotograf zapalił czwartego goldena, dokończył mętny, ciepły browar. Tamci dyskutowali zawzięcie, ale docierały do niego zaledwie urywki zdań, zbyt krótkie, by wyłapać temat rozmowy; zauważył za to, że na niego zerkają. Jan się denerwował, Marcin go uspokajał, babka od reklamy mediowała między nimi a przedstawicielem sponsora. Wreszcie skończyli i Jan wziął Ola pod ramię.

– Może nie ma pan czasu, możemy umówić się kiedy indziej...

Tym razem słowa przyszłej gwiazdy fotografii zabrzmiały uprzejmie, ale pod cienką warstwą kindersztuby przycałił się strach. Propozycja ekstremalnej wyprawy spadła na Ola niespo-

dziewanie. Lawirował, czując, że choć zmarnował dwie godziny, wciąż ma szansę uniknąć ostatecznej rozmowy z kierownikiem.

– Synku, po pierwsze, jesteśmy na ty. Po drugie, masz fajkę?

– Mam, ale...

– Himalaiści nie palą, ale te hieny tak mnie wykończyły, że muszę zająć. Wyobraź sobie, że najpierw te... hostessy miały wystąpić w kostiumach kąpielowych: na biodrach liny i zatknięte czekany objające się o dupy!

Jan odgarniał na bok siwiejącą grzywkę, a ta z powrotem opadała mu na czoło. Był niższy i szczuplejszy od Ola, miał wydatny nos, potarł go, zdenerwowany. Młody mimowolnie się roześmiał – to rzeczywiście był typowy pomysł jego kolegów z agencji reklamowych, bo cóż innego mogło się ulęgnąć w głowach ludzi zapijających kokainę witaminizowanym soczkiem.

Usiedli na ławeczce przy skwerku, Jan zaciągnął się mocno goldenem, w paczce został już tylko jeden, więc Olo ze wszystkich sił powstrzymywał się przed jego zapaleniem. Stary himalajski wyga zaczął mówić.

Opowieść Jana, kierownika wyprawy

Nie mam zamiaru do niczego cię namawiać, ale cieszę się, że przyszedłeś i mnie wysłuchasz. Nie mieliśmy nigdy okazji pogadać i ten moment też pewnie nie jest najlepszy, ale jak nie teraz, to kiedy?

Pochodzę ze starej ziemiańskiej rodziny. Straciliśmy wszystko przez wojnę i komunę, więc zostałem inżynierem. Może dlatego artystów nigdy do końca nie rozumiałem?

A ty się chyba w ojca wdałeś?

Nie, nie mówię tego pejoratywnie!

Po śmierci Aleksandra obiecałem sobie, solennie przyrzekłem, że już nigdy nie wezmę żadnego pięknoducha powyżej bazy. Nigdy, przynigdy, bo jestem umysł ścisły, tak mi się kalkuluje, że nie ma sensu powtarzać tych samych błędów. A wtedy posypała się na mnie krytyka. Właściwie gówno się na mnie wylało.

Na mnie, rozumiesz?!

Jak ktoś zginie, to nagle wszystkie sukcesy zostają zapomniane. Nie ma przebaczenia, przestajesz być bohaterem, jesteś winowajcą. Mówią na zebraniach, ale nie tobie w twarz, piszą w gazetach, ale nie patrzą ci w oczy, to nie ludzie, to wilki...

Co ja się nasłuchałem, tyle pretensji!

W każdym razie dobrze ci radzę: nie bądź taki artysta jak tata. Porzuć te mrzonki, masz fach w ręku, dobrze, wykorzystaj to, nie bujaj w obłokach.

Stąpaj mocno po ziemi!

Mówili, że operator kamery bez doświadczenia w górach wysokich, że nie powinien przeć na szczyt, że to moja wina, bo byłem szefem. Jakoś nikt, kurdebele, nie wspominał, że to Jerzy zaprosił Aleksandra na drugiego kamerzystę, nie ja. Jerzy zrobił film nagradzany na festiwalach, sporo forsy na tym zakosił, nie powiem. Wziął kumpla, bo studiowali razem w szkole filmowej. No i twój tata był znanym operatorem, a już wtedy, w osiemdziesiątym szóstym, to się liczyło.

Nie protestowałem.

Mówią: kierownik, ale jednak decyzje podejmowało się grupowo, nie przypominałem Andrzeja Zawady. On miał taki autorytet, że wszyscy go słuchali, a ja byłem pierwszy raz kierownikiem, w sumie zamiast niego, tak jakoś wyszło, mniejsza o szczegóły.

Mówiłem im przez radio: „Pamiętajcie, zaopiekujcie się Aleksandrem”. Tak mówiłem, jest nagranie!

Kiwasz głową, bo wszyscy je znają, ale i tak krytykowali. Oczywiście dopiero jak zginął, bo gdyby przeżył i nakręcił superujęcia z wysoka, nikt nie miałby pretensji.

Tak twierdzą.

Nie chciałem, żeby szedł do obozu drugiego, ale się uparł. Chciał złapać Pana Boga za palec i nie wiem co dalej? Ugryźć?! Była piękna pogoda, nic nie zapowiadało tej zamieci. Pamiętaj, że mieliśmy prognozy meteo, ale dla całego północnego Pakistanu, a nie konkretnej góry.

Mówiłem mu: nie bądź taki chojrak.

Do trójki już bym mu nie pozwolił, nie dałby rady po drodze, na Czarnej Piramidzie. Do dwójki, na sześć tysięcy siedemset metrów, była dosyć... no, względnie łatwa droga.

Może przesadzam, przepraszam, ale jestem konkretny, a twój tata, on czekał na jakieś takie doświadczenie... wręcz samobójcze. Chciał nam udowodnić, że jest twardzielem, a nie artystą. Wojtek Kurtyka mówi o sztuce cierpienia w górach. On jest filozof, ale zarazem wspinacz profesjonalista, ma podstawy do snucia dywagacji. U Aleksandra, jak to mówią, więcej było nadbudowy niż bazy. Dużo myślał, ale za mało zgromadził doświadczenia, żeby mieć o czym myśleć.

Chciał pocierpieć, wykazać się. Ktoś mu naopowiadał o drugiej stronie lustra, to słynne pytanie: czy dotknąłeś już drugiej strony lustra? Chciał tam zajrzeć, mówił mi, że sztuka tam zagląda i że himalaizm też może tam prowadzić. Ładnie powiedziane, ale trzeba być wytrenowanym zawodnikiem, mieć praktykę. A wtedy, w latach osiemdziesiątych, obowiązywała zasada: „Jest zabawa: albo gleba, albo sława”.

Ludzie ryzykowali, ale ty mi nic nie kombinuj, zrozumiano?! Sponsor uważa, że to świetny pomysł.

Woronicz śladami Woronicza dokumentuje wyprawę.

Nawiasem mówiąc, niedawno lodowiec wypłuł ciało Arta Gilkeya. Facet zginął czterdzieści lat temu. Zmienia się klimat, zmniejsza się pokrywa lodu, wszystko tam się przesuwa...

Dasz radę?